

Subkultura konspiratorów?

Jan Olszek



Jeszcze kilka lat temu opozycyjny drukarz z okresu PRL – brodaty, we flanelowej koszuli – wyróżniałby się na pierwszy rzut oka. Dzisiaj mógłby niezauważony wejść do najmodniejszych hipsterskich knajpek przy warszawskim pl. Zbawiciela. Po czym można było poznać opozycjonistę w latach osiemdziesiątych?

► Mirosław Chojecki – stereotypowy opozycjonista: z brodą, we flanelowej koszuli i z palcami ubrudzonymi farbą drukarską

W 1984 roku jeden z takich współpracowników warszawskiej Służby Bezpieczeństwa przedstawił swojemu oficerowi prowadzącemu rysopis człowieka, który w kościele św. Anny rozkładał na ławkach egzemplarze podziemnego tygodnika „Wola”: „Mężczyzna, który położył ww. gazetki, był wysokiego wzrostu, około 180 cm, posiadał gęstą czarną brodę i wąsy, włosy krótko ostrzyżone, lekko sfalowane, ubrany był w sweter i dżinsy, miał około 30 lat”. Czy taki opis pomógłby funkcjonariuszom policji politycznej PRL namierzyć kogokolwiek, jeżeli nie wiedzieliby niczego więcej? Wątpliwe.

Gdy spojrzymy na zdjęcia opozycjonistów z tamtych lat – ludzi tworzących podziemną prasę, drukarzy, działaczy związkowych – to natrafimy na wiele osób pasujących do tego opisu. Taki wygląd – trochę niezadbany, trochę hipsterski – był charakterystyczny dla wielu ludzi opozycji. Co z tego? – zapyta czytelnik. – Jakie to ma znaczenie, jak ubierali się ci ludzie? Czy nie jest ważniejsze, na czym polegała ich działalność, jak była zorganizowana, jakie podejmowali ryzyko, w imię jakich idei? Oczywiście, że te sprawy są dla historyka najważniejsze. Warto jednak przyrzeć się tym elementom funkcjonowania opozycji, na które rzadko kieruje się „szkielko i oko” naukowców. Ich ubiorowi, językowi, którego używali, zainteresowaniom, lekturom, muzyce, wpływowi konspiracji na codzienność – wszystkiemu, co składało się na ich „opozycyjny styl”.

Broda, sweter, flanela – stereotyp?

Potoczne wyobrażenie o opozycjonistce to brodaty mężczyzna z papierosem, w flanelowej koszuli bądź swetrze, z plecakiem pełnym publikacji z drugiego obiegu. Podobnie jest w przypadku kobiet współtworzących ten ruch – często stylem trochę przypominają hipiski. Wizerunek ten kształtował się już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Został utrwalony na zdjęciach drukarzy, strajkujących załóg czy osób internowanych. Wielu ludzi aktywnych w opozycji miało podobny styl – niedbającego o wygląd, wyluzowanego rewolucjonisty. Rzeczywiście, dla części z nich kwestie wyglądu nie miały większego znaczenia, a i czasy były takie, że nie wybrzydzało się podczas wybierania ubioru. Dodatkowo zaangażowanie w konspirację, kolportaż, a zwłaszcza w drukowanie (nie było chyba sposobu, żeby nie ubrudzić się farbą) – nie skłaniały raczej do eleganckiego stroju. Natomiast brody i długie włosy były popularne raczej z powodu mody.

Związana w latach siedemdziesiątych ze Studenckim Komitetem Solidarności w Poznaniu, a w osiemdziesiątych z tamtejszym oddziałem Solidarności Walczącej Anka Grupińska szczegółowo opisywała modę panującą w jej środowisku: „Wszyscy nasi faceci chodzili w swetrach, które im robiłyśmy na drukach. Były rozciągnięte, workowate, ze zgrzebnej owczej wełny. Zresztą myśmy też chodziły w takich swetrach. My wszyscy wyglądaliśmy, jakbyśmy mieszkali w więzieniu, tak mi powiedziała moja frankfurcka koleżanka. Bo myśmy się ubierali na szaro. Po pierwsze dlatego, że nie można było kupić żółtych butów, tak? Po drugie myśmy musieli być cierpiętnicy. Więc moim ukochanym strojem była szara kufajka. Całe zimy w niej przechodziłam. Chłopcy często chadzali w kurtkach zielonych, z taką jaskółką z tyłu, pęknięciem. Do dzisiaj w nich widuję facetów po pięćdziesiątce. Koszule flanelowe, absolutnie! W kratę. Naturalnie! Spodnie – dżinsy najczęściej, sztruksy”. Taki ubiór niósł ze sobą prze-

► Archetypowy konspirator z milicyjnej fotografii



Fot. AIPN

kaz dotyczący postawy wobec zastanej rzeczywistości: żyjemy bardziej ideami niż żmudną codziennością.

Niektórzy konspiratorzy ubierali się na sposób militarny, kojarzący się z walką czy partyzantką. Amerykańskie kurtki z demobilu, dżinsy, znoszone trampki – tego rodzaju styl dominował w niektórych środowiskach opozycyjnych. Aleksandra Zawłocka, organizatorka kolportażu „Woli” (jednego z warszawskich pism podziemnych), wspominała, że była przyzwyczajona do luźnego stylu współpracowników. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy poznała współtworzącego od początku to pismo Andrzeja Urbańskiego: „Jak Maćka po raz pierwszy zamknęli, to wtedy zjawił się u mnie Andrzej. Ja zbierałam. Maciek [Zalewski], Michał [Boni], Mirek Pęczak, całe to grono to byli chłopcy w zielonych kurtkach, w przydeptanych tenisówkach, z brodami [...]. A nagle tu stoi taki facet w angielskiej marynarce w pepitkę, ze skórzanymi wykończeniami i z fajką w ręku. Mówi do mnie, że jest kumplem Maćka. To było dla mnie zaskoczenie, że właśnie jest taki z innego świata”. W solidarnościową konspirację angażowali się różni ludzie. W relacjach, obok brodatych drukarzy i długowłosych poetów, pojawiają się też eleganckie panie w garsonkach, skromnie ubrane bibliotekarki czy robotnicy w drelichach. Sam wygląd konspiratorów pokazywał, z jak różnych środowisk się wywodzili.

Jak dalece jednak opozycjoniści wyróżniali się wyglądem z ówczesnego społeczeństwa? Ta sama moda, która była popularna w podziemiu, pojawiała się w całym młodym pokoleniu, zwłaszcza w środowiskach inteligencji. Rozwijały się w tym czasie różne subkultury, podkreślające swoją odmienność. Konspirator nie mógł przecież za bardzo wyróżniać się ►

z tłumy. Jerzy Pawlas, w latach osiemdziesiątych redaktor podziemnego pisma „CDN – Głos Wolnego Robotnika”, wspominał: „Moda stanu wojennego, niewyszukana, ale praktyczna. Fryzura raczej długa, zaniedbana, twarz pokryta zarostem. Kurtki z demobilu amerykańskiego, buty – saperki bądź adidas. Nieodłączna torba lub plecak. Wydawało się, że wszyscy są kolporterami. Ci ostatni pod podszewką lub podpinką (zależnie od pory roku) mieli wszyte kieszenie na »bibułę«. Ginęli w tłumie podobnych do siebie”. Tak w tych czasach ubierało się znacznie więcej ludzi, niż działało w podziemiu, chociaż zapewne w środowiskach opozycyjnych było ich procentowo wyraźnie więcej niż w całym społeczeństwie.

Pamiętać też trzeba, że ruch opozycyjny w PRL był bardzo zróżnicowany. Nie tylko pod względem politycznym, lecz także pokoleniowym i kulturowym. Historyk Paweł Sowiński w monografii *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989* pisał o drukarzach: „Gdyby spojrzeć na tę grupę od strony ideowej, na pierwszy rzut oka widać zróżnicowanie – wszystkie uogólnienia stają się ryzykowne. W drukarniach opozycji spotykała się Polska niepodległościowo-tradycyjna ze światem kulturowego undergroundu, luzu życiowego i liberalnego spojrzenia na świat – niezłomni patrioci z artystami i popalającymi hipisami”. Styl życia części konspiratorów zbliżał ich do środowisk kontrkulturowych związanych z alternatywną muzyką czy teatrem. Redagując konspiracyjne gazety, drukując w podziemiu i kolportując niezależne wydawnictwa, buntowali się oni nie tylko przeciw komunizmowi i stanowi wojennemu, ale też przeciw szarości egzystencji w PRL czy modelom życia starszych pokoleń. Byli też jednak konspiratorzy zupełnie inni, żyjący w sposób tradycyjny.

Niekiedy to zróżnicowanie kulturowe mogło przynajmniej częściowo nakładać się na różnice polityczne. Tak sądził Jacek Kuroń, który pisząc w swoich wspomnieniach o przebiegu jednej z głódówek z udziałem różnych śro-

dowisk opozycyjnych (jeszcze przed powstaniem Solidarności), zamieścił obserwacje dotyczące różnic kulturowych między lewicą a prawicą w opozycji. Według niego, przejawiały się one m.in. właśnie w ubiorze – lewicę cechował znacznie luźniejszy styl. Jednak gdy podzielił się swoimi obserwacjami z uczestnikami protestu, spotkał się raczej z negatywnymi reakcjami.

Stereotypowy obraz opozycjonisty hipisa pasował zresztą tylko do części uczestników tego szerokiego ruchu: raczej do inteligencji tworzącej wydawnictwa drugiego obiegu niż do np. osób kolportujących je w robotniczych zakładach pracy czy mniejszych ośrodkach.

Być w opozycji, czyli „knuć”

Uczestnicy solidarnościowej konspiracji posługiwali się specyficznym językiem. Ułatwiał on funkcjonowanie – krótkimi określeniami nazywano sytuacje lub przedmioty związane z działalnością podziemną. Jego używanie miało też znaczenie konspiracyjne – był zrozumiały dla wtajemniczonych. Publikacje nazywano „bibułą”, powielacz białkowy – „białkiem”, matryce – „blachami”; o diapozytywach mówiono „dia”, o sitodruku – „sita”. Druk w legalnie funkcjonujących punktach druku odbywał się – jak mówiono – „na dojściu”. Głośniki, dzięki którym w miejscach publicznych można było słuchać audycji Radia „Solidarność”, nazywano „gadałami”, a materiały przemycane z Zachodu – „zrzutami”. „Wzięli mnie na dołek” – podobnie jak w języku przestępczym – mówiła osoba aresztowana. O osobie śledzonej mówiono, że prowadzi za sobą „ogon”. „Wpadką” nazywano moment zdekonspirowania.

Wiele słów z konspiracyjnego słownika dotyczyło relacji między działalnością podziemną a światem jawnym, legalnym. Przechodzenie na kilka dni do pracy w redakcji podziemnej nazywano „spadami” lub „zanurzaniem się”. To drugie określenie oznaczać też mogło całkowite przejście do podziemia i rozpoczęcie życia w ukryciu. Czynność odwrotna – ujawnienie się – było „wynurzeniem się” lub „wyjściem na

powierzchnię”. „Legalizacja” to preparation fałszywych dokumentów. „Skrzynkami kolportażu” bądź „kontaktowymi” nazywano miejsca, gdzie pozostawiano materiały i informacje. Wykorzystywane przez podziemie mieszkania zależnie od przeznaczenia nazywano „śluzami” albo „spotkaniówkami”.

Język konspiratorów zdradza też, jak ludzie tworzący ten ruch myśleli o sobie i skąd czerpali inspirację. Zawierał on pojęcia wzięte ze slangu dawniejszych konspiracji – widać, że ludzie podziemnej Solidarności nawiązywali do literatury dotyczącej Armii Krajowej. Jednocześnie zauważyć można elementy wspólne z językiem policyjnym (czyli używanym przez przeciwnika) i przestępczym („na dołek” mógł iść zarówno działacz opozycyjny, jak i włamywacz). Wprowadzano też nowe wyrażenia, dotyczące bieżącej sytuacji politycznej. Przeciwnika nazywano „wroną”, „czerwonym”, „esbekiem”, stan wojenny – „wojną”, a samą działalność opozycyjną – „knuć”. To autoironiczne określenie przejęte z propagowanego przez władzę obrazu ludzi podziemia jako „knujących” przeciwko państwu. Określenie to pasowało zresztą do czasów stanu wojennego, kiedy rozmowy prowadzono ścisłym głosem, w zamkniętych pomieszczeniach, bez świadków.

Książki, muzyka, wspólne pasje

Język konspiracji lat osiemdziesiątych nie tylko służył jako szyfr, ale był elementem wspólnego kodu kulturowego funkcjonującego głównie w środowiskach opozycyjnych. Na kod ten składały się lektury, muzyka i inne zainteresowania. Zapewne nie różnił się bardzo od tego, którym posługiwała się w tym okresie młoda inteligencja, miał jednak charakterystyczne cechy. Konspiratorzy czytali podziemną prasę i książki, słuchali Jacka Kaczmarskiego i innych opozycyjnych bardów. W ich życiu to, co opozycyjne, mieszało się z rozrywką typową dla młodych ludzi – przede wszystkim polskim i zachodnim rockiem lat osiemdziesiątych. W słuchanej przez młodych konspiratorów muzyce dobrze widać było ważny ele-

Fot. Marcin Jabłoński / ze zbiorów Ośrodka KARTA



► Brudna robota; konspiracyjna drukarnia NOW-ej w Konstancinie k. Warszawy: Mirosław Chojecki (z papierosem) i Zenon Pałka

ment ich stylu życia: połączenie rozrywki i patosu, zabawy i powagi, życia towarzyskiego i polityki.

Podziemie angażowało nie tylko czasowo, ale też intelektualnie. Piotr Piętaś, redaktor podziemnych „Wiadomości” (ukazujących się już od 15 grudnia 1981 roku!), wspominał, że w tamtych czasach czytał dużo książek politologicznych i socjologicznych. Redaktorka „Tygodnika Mazowsze” Anna Bikont przyznawała po latach, że nie miała czasu czytać książek niezwiązanych z konspiracyjną działalnością: „Czytaliśmy też *tolstyje żurnaly*, czyli grube pisma, żeby zobaczyć, czy nie ma jakichś informacji. Czytaliśmy prasę zakładową, tego było bardzo dużo”. Konspiratorzy uczestniczyli w kulturze niezależnej: w koncertach, przedstawieniach teatru domowego. Tam przenikały się

środowiska opozycjonistów i działających bardziej jawnie artystów. Często ci pierwsi utrzymywali z tymi drugimi kontakty towarzyskie, które też wykorzystywali w działaniach podziemnych. „Ludzie wiedzieli, kto jest kim, jak się spotkali na takim przedstawieniu, a potem, gdy trzeba było np. poprosić o mieszkanie, przerzucić bibułę, cokolwiek, to człowiek miał większą pewność, że się nie nadziejie na jakiegoś donosiciela” – wspominał redaktor „Woli” Piotr Stasiński.

Życie towarzyskie opozycji

Z relacji wyłania się obraz podziemia zażarcie dyskutującego o polityce, ale też dobrze się bawiącego. Redakcje pism podziemnych często były ze sobą związane towarzysko. Spotykano się w domach, niekiedy w kawiarniach.

Rozmawiano o sprawach prywatnych, a jednocześnie ustalano szczegóły dotyczące redakcji, kolportażu czy druku. Związany z opozycją dziennikarz Ernest Skalski wspominał spotkania redaktorów i współpracowników „Tygodnika Wojennego”, na które przychodziło do dwudziestu osób. „Piło się w umiarkowanej ilości marne czerwone wino, paliło marne papierosy i głośno dyskutowało na różne tematy. Niewielkie to miało przełożenie na redagowanie pisma”.

Konspiratorzy często mieli podobną hierarchię wartości, jednakowe problemy i styl życia, wiążący się z niepewną sytuacją zawodową czy groźbą aresztowania. Ludziom spoza tego kręgu trudno było ich zrozumieć. Na przykład Małgorzata Zalewska miała problem z wyjaśnianiem sytuacji swego męża Macieja przebywającego w areszcie (wszak przestępcą był tylko w oczach władzy). Oczywiście były różne stopnie zaangażowania i wtajemniczenia w konspirację. W latach osiemdziesiątych solidarnościowi konspiratorzy byli mniej wyizolowani ze społeczeństwa niż w początkach ruchu opozycyjnego. Wielu z nich miało znajomych, którzy sympatyzowali z podziemną Solidarnością, choć nie byli w nią zaangażowani. Natomiast osoby poświęcające niemal cały swój czas podziemiu obracały się głównie w kregach opozycyjnych. Brakowało czasu na inne znajomości. „Przychodzisz do znajomych – opowiadała Marta Woydt, redaktorka »Tygodnika Mazowsze« – i [słyszysz pytanie]: »Co robisz«? Nie pracujesz? Rok, drugi, trzeci. W PRL, gdzie był nakaz pracy! Trochę kitłasilimy się we własnym sosie – plus osoby wspomagające. Właściwie wszyscy znajomi przez te dziesięć lat to były osoby, które jakoś działały. Zresztą, ja nie miałam telefonu i praktycznie nie bywałam w domu. [...] Tak się rozeszły wszystkie inne kontakty”.

Gdzie toczyło się życie konspiratorów? Oprócz drukarni mieszczących się w pustych mieszkaniach bądź domkach, korytarzy i ulic, które przemierzali kolporterzy, były to też mieszkania użyczane redakcjom. Od bezpiecznych lokali zależała ►

sprawność zespołów redakcyjnych. „Dobrze usytuowane (jakieś boczne wejście od podwórza, bramy przechodnie), a przy tym udostępnione przez ludzi godnych zaufania, którzy nie bali się represji milicyjnych – były przedmiotem zazdrości konspiratorów” – wspominał Jerzy Pawlas. Stanowiły one część systemu lokali używanych do różnych celów: spotkań, druku, jako magazyny, skrzynki, do ukrywania się działaczy podziemia. Dla Elżbiety Regulskiej, redaktorki „Tygodnika Mazowsze”, drzwi do mieszkań redakcyjnych były przejściem do świata wolności. Trzeba było jednak stosować zasady konspiracji, nie przychodzili tam przypadkowi goście. Inaczej było w domach prywatnych niektórych opozycjonistów, w których często się spotykano (choć raczej towarzysko). Na przykład wiele spotkań środowiska „Tygodnika Wojennego” odbywało się w domu Ninel i Bogdana Kosów. Był on wygodny do konspirowania. Jak wspominała (nieżyjąca już) Ninel Kameraz-Kos, budynek z zewnątrz wyglądał niepozornie, niemal nie było widać drzwi, w środku zaś okazywał się duży i miał wiele pomieszczeń oraz dwa wyjścia – drugie wychodziło na podwórko teatru „Baj”. Mieszkały w nim tylko dwie rodziny, więc konspiratorzy mogli czuć się bezpieczniej niż tam, gdzie jest wielu sąsiadów. U Kosów przecinały się drogi warszawskiego podziemia, środowisk artystycznych, dziennikarzy i osób związanych z religią i kulturą żydowską. Tworzyło to szczególną atmosferę, podobną bardziej do artystycznej bohemy niż ruchu związkowego.

Lek na apatię

Dla wielu ludzi praca konspiracyjna była sama w sobie emocjonująca. Współorganizator druku „Tygodnika Mazowsze”, „Karol”, twierdził, że praca w podziemiu jest jedną z niewie-

lu możliwości samorealizacji w PRL. „Ten kraj wygląda tak, jak wygląda, z powodu apolityczności dużej części społeczeństwa. Garnek zajmuje ludziom tyle czasu, że już nie starcza na myślenie. Ja nie chcę być jednym z tej armii szarych ludzi. [...] My właściwie nie mamy styczności z PRL-em. Jestem szczęśliwy, że wyrwałem się spod tego straszliwie opiekuńczego państwa, które teoretycznie zapewnia wszystko, a tak naprawdę wszystko uniemożliwia”.



► Obskurne wnętrza podziemnej drukarni

Udział w opozycji chronił przed apatią i poczuciem beznadziei, wywołanym przez wprowadzenie stanu wojennego. Przeżywanie tych emocji rekompensowało trudy konspiracyjnej pracy: konieczność ciągłego zachowywania ostrożności, zapamiętywania ogromnej liczby informacji, zmęczenie żmudną pracą. Myśl o uczestniczeniu w czymś, co uznawano za ważne, nadawała sens pisaniu kolejnej wersji tej samej informacji o strajku w mało znanym zakładzie pracy w niewielkim mieście, spędzaniu godzin nad maszyną drukarską, jeżdżeniu po całym mieście z kilkoma

ryzami zadrukowanego papieru. Cytowany już historyk Paweł Sowiński pisał: „Czasem bowiem chodziło raczej o dzielenie wspólnego losu, życie obok systemu niż służbę krajowi. Często wtedy nie cele polityczne tej walki, ale wspólne przeżycia, dreszczyk emocji, towarzyskie tajemnice decydowały o jej atrakcyjności”. Różne motywy nakładały się na siebie, ale istotny był wątek osobistej satysfakcji z uczestnictwa w czymś ważnym i emocjonującym. Je-

den z redaktorów „Tygodnika Wojennego” stwierdził: „Emocja konspiracji też była niesamowita, organizowanie struktur aktywizowało ludzi, a wielość tych głosów... Wydawało mi się wtedy, że wszyscy są w podziemiu. Można było wpaść zresztą w taką chorobę – wychodziłem w niedzielę z redakcji, włączałem Wolną Europę – na wsi miałem dobry odbiór – i spiker mówi o tekście, który ja pisałem na maszynie. Chciało się żyć”.

Z konspiracją wiązały się nie tylko pozytywne emocje, lecz także te negatywne. Częste podejmowanie ryzyka powodowało nerwowość i przewrażliwienie na punkcie konspiracyjnego „BHP”. Wielu obawiało się dekonspiracji. Niepokój wywoływał dzwonek do drzwi mieszkań

redakcyjnych. Frustrujące były fałszywe alarmy, po których pospiesznie ukrywano lub niszczone materiały redakcyjne. Piotr Pacewicz pisał na łamach „Tygodnika Mazowsze” w 1984 roku: „Staramy się być ostrożni, ale nie popadać w przesadę, bo od tego już tylko krok, żeby konsekwentnie zastosować wszelkie możliwe środki ostrożności i przestać wydawać pismo. Jesteśmy dość tchórzliwi, na szczęście każdy się boi czegoś innego. Staramy się szanować swoje strachy i wzajemnie wyobrażenia o tym, jak najlepiej konspirować. Jeżeli nie ma absolutnej potrzeby, każdy robi to, co lubi najbardziej

i nie robi tego, czego nie lubi. Ja np. moge najciemniejszą nocą wędrować ze zwałami bibuły, ale boję się chodzić na nowe adresy, nie przepadam też za wożeniem powielaczy. Unikam jak ognia samotnego oczekiwania w obcych lokalach”. Przełamanie strachu było szczególnie ważne dla drukarzy. W momencie zatrzymania przez Służbę Bezpieczeństwa w trakcie pracy byłoby im znacznie trudniej się wytłumaczyć niż redaktorom czy kolporterom detalicznym. Na dodatek, ich praca trwała długo, duże było więc niebezpieczeństwo wykrycia.

Stan ciągłego napięcia, jaki towarzyszył twórcom podziemnej prasy, doskonale obrazuje historia odbioru pierwszego powielacza, który redakcja „Woli” otrzymała w 1982 roku. Był to sprzęt czechosłowackiej firmy Cyklos, prosty w obsłudze i wydajny, ale bardzo ciężki.

„Zasady konspiracji i chęć posiadania sprzętu na wyłączność pisały scenariusz tego całego przejęcia – wspomina Maciej Zalewski. – [Ryszard] Matulka pożyczyl za pieniądze samochód – syrenę Bosto. Wjechaliśmy w Nowowiejską, tam chłopaki od Teosia [Klincewicz] wynieśli nam ukradziony z politechniki powielacz. Myśmy ten powielacz zapakowali do syreny. [...] Pamiętam, że była napięta atmosfera, bo nikt nie umiał tą cholerną syreną jeździć. Jechaliśmy Polną w stronę Trasy Łazienkowskiej, tych wszystkich wjazdów i rozjazdów. Sławek [Świderski] kierował i był tak zdenerwowany, że za szybko skręcił w lewo, pod prąd. Zadyma jak cholera, musieliśmy się cofać, on nie bardzo umiał samochód obsługiwać. Jakoś się udało, objechaliśmy rondo Jazdy Polskiej, Sławek podwiózł nas na ulicę Smolną i we dwóch z Elkiem [Eli-giuszem Sitariskim] przenieśliśmy skrzynię z cyklosem na peron stacji Warszawa-Powisłe. Zresztą widzieliśmy tam milicję, jakiś patrol wiejskich gości zagubionych w naszym mieście, ale nikt się nami nie interesował, a taką wielką skrzynię żeśmy targali z tym powielaczem. To wszystko było na łut szczęścia. Ale nas nie złapali”.

Działalność w podziemiu to była często ciężka praca bez szybkich efektów.



Fot. ze zbiorów Ośrodku KARTA

► Spotkanie towarzyskie działaczy podziemnej opozycji w mieszkaniu Elżbiety i Pawła Bąkowskich; z gitarami: Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski, dalej m.in. Jan Józef Lipski, Jerzy Holzer, Jerzy Jedlicki, Ewa Milewicz, Wiktor Woroszyński; Warszawa, październik 1980 roku

Z czasem przychodziły rutyna, znużenie, a z nimi zwątpienie. Podziemny drukarz związany z „Wolą”, Sławomir Świderski, wspominał: „Na Białołęce niesamowity facet fermę lisów miał. »Lis« na niego mówiliśmy. Ryzykując cały swój majątek, interes, udostępnił nam szopę. U niego drukowaliśmy »Wolę« na tym offsecie, z niedzieli na poniedziałek. Ale wtedy to już bez takiego entuzjazmu, tak już troszeczkę schodziło powietrze. Zna czy dalej trzeba było drukować, ale już nie z takim zapałem – przez to, że to już takie monotonne się stało. Wydaje mi się, że wszystkim spowszedniał ten stan wojenny”. Drukowanie było czynnością szczególnie męczącą. Tomasz Trepka organizujący druk „KOS-a” opisuje po latach codzienność podziemnych drukarzy: „Często był to druk w nocy, bo tak ludzie mieli czas. Jeśli pracowali, to nie mieli kiedy. W związku z tym na pewno zawsze były okna kocami zasłonięte, żeby nie było widać. W lokalu musiały być łazienka. Różnie to było. Czasami jakieś były pracownie artystyczne, gdzieś tam na strychach, tam były problemy

z wodą, z ogrzewaniem, to jakieś piecyki się brało. Ludzie byli wykończeni. Rano jak wychodzili, to półprzytomni byli”. Nie wszyscy dobrze znosili stres związany z działalnością konspiracyjną. Niekiedy miało to negatywne skutki dla ich życia prywatnego.

Konspiratorzy stanowili grupę barwną i wyróżniającą się aktywnością i energią życiową na tle zdemobilizowanego w stanie wojennym i kolejnych latach społeczeństwa. Przekonywał o tym Piotr Szwajcer (kierownik kolportażu Niezależnej Oficyny Wydawniczej) w 1988 roku. Na podstawie badań, w których prowadzeniu uczestniczył, stwierdził, że ludzi konspiracji łączy nie poglądy polityczne, lecz styl życia, związany z tym, że podejmują oni aktywność w sferze publicznej zgodnie z własnymi przekonaniem. To wyodrębniło działaczy podziemia spośród biernego społeczeństwa. ❄

Jan Olszok – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, przygotowuje książkę o podziemnym dziennikarstwie w czasach Solidarności